



W Imię Boże

DWUTYGODNIK RELIGIJNY 2 KORPUSU

ROK III. (Ser. C)

Piątek, 15 luty 1946

Nr. 4 (37)

„Ludzkość zaczyna sobie uświadamiać, że musi być ustanowiony nowy porządek, porządek naprawdę chrześcijański, jeżeli nie chcemy całkowicie zginąć w walce, która nadchodzi“.

(List Pastorski
Arbpa Cardiff-u
ks. Mac Grath'a)

Walka o dusze młodzieży polskiej

Totalna metoda wynaradawiania rozporządza ogromnym arsenalem środków, ułatwiających osiągnięcie celu. Pruska hakata tworzyła fundusze na wykup polskich, chłopskich gospodarstw. Carska Rosja wywoziła na Sybir, wywłaszczała. Obaj zaborcy, poza tym, zamykali szkoły, zamykali polskie kościoły, zabraniali polskiego pacierza. Obaj zaborcy wynaradawiać pragnęli podstawę społeczeństwa — młodzież.

Od tamtych czasów nie się nie zmieniało. Rozgrywka z pokoleniem starszym odbywała się, za hitlerowskiej okupacji, przy pomocy masowych obozów śmierci, komór gazowych. Totalizm brunatny „nowocześnieł” metody. Okupant sowiecki nie pozostawał w tyle. Wysyłał w bezprzeznaczoną Azję na powolne konanie, ale już nie kibitkami, ale masowo „nowoczesnymi” kibitkami — pociągami. Jedni i drudzy bezlitośnie niszczyli każdego uświadomionego Polaka. A czym większe miał wykształcenie, tym szybciej sędzi na stracenie. Jedni i drudzy wynaradawiali przede wszystkim młodzież przez masową deprawację, przez odbieranie jej rodziny, szkoły i religii.

Każdy ustrój totalny, czy to będzie czarny, brunatny, czy czerwony, w swoim planowaniu bierze pod największą uwagę młodzież. Jest to część społeczeństwa najczulsza, a zarazem fundament przyszłości. Jest to pokolenie, którego obecne wychowanie stanowi o przyszłości społeczeństwa polskiego, o przyszłości Polski, o jej losie.

Pionem tej młodzieży polskiej była szkoła polska z polskim pacierzem, była rodzina polska oparta o etykę chrześcijańską. Ta właśnie rodzina była związana najsilniej z wartościami moralności w imię tego najmłodszego pokolenia, które należało najlepiej wychować, by uniknęło błędów starszego. I dlatego szczególnie dziś, agenci komunistyczni likwidują pojęcie rodziny chrześcijańskiej przez przerywanie naturalnego wpływu moralności katolickiej na jego węzły.

O co im chodzi? Czy o szybkość rozwodów świeckich? Nie, to chodzi o wyrzucenie dzieci poza nawias rozbitych rodzin. Chodzi o większy wpływ, na wychowanie dzieci, które winno być świeckie, co w tym pojęciu jest wychowaniem bez etyki, bez moralności, bez naturalnego kręgozłupia polskiego. W dalszym wyniku odda to rozbrojoną młodzież polską w kraju na łup propagandy sowieckizującej Polskę.

Ta nie chodzi o demokrację, bo jej najwięksi obrońcy za głoszenie podstawowych prawd wolności człowieka — idą do łagrów. Tu chodzi o rzeczy znacznie głębsze. Pojęcia kultury zachodniej, chrześcijańskiej dają właściwą ocenę człowiekowi, dają właściwe rozumienie dobra i zła, dają kręgozłup mocny i dają ogromną siłę wiary, że każde Zło przeminąć musi.

Złamać ten kręgozłup, odebrać wiarę w przemiane zła, odebrać wiarę w Polskę — oto cele opracowane, dokładnie akcji bezbożności w Kraju.

Ale nie wystarczy zdawać sobie sprawę z tego stanu rzeczy. Trzeba iść z pomocą Kościołowi w Kraju. Trzeba demaskować na każdym kroku kłamstwa propagandy czerwonego totalizmu-faszystwu. Trzeba głosić prawdę o Kraju. Trzeba dalej umacniać szkolnictwo polskie za granicą. Każde dziecko polskie musi mieć kościół polski i szkołę polską o tradycyjnej kulturze zachodnio-chrześcijańskiej, z polskim pacierzem i polską mową.

Każde dziecko polskie za granicą musi korzystać ze skarbnicy wiedzy prawdziwej — Tam zamkniętej. Bo to jest fundament Polski, która idzie.

(S. M.)

Kościół a szkoła

Prawdziwe zrozumienie stosunku Kościoła katolickiego do szkoły jest możliwe jedynie na tle całości kształtu katolickiego poglądu na świat. Dopiero gdy w świetle jego widzi się, że wszystkie trzy społeczności: rodzina, państwo i Kościół, pochodzą z ustanowienia Bożego, w celu wszechstronnego realizowania szczęścia człowieka, indywidualnie i w życiu społecznym — dopiero wówczas staje się oczywistym, że pomiędzy prawami tych trzech społeczności nie może zachodzić żadna sprzeczność, owszem że wszystkie mogą i powinny współpracować w najściślejszej harmonii, bo wtedy dopiero doprowadzą wspólne dzieło do pomyślnego końca. Kto wmyślił się w ten światopogląd, dla tego znikną wszelkie uprzedzenia i obawy, jakoby Kościół dążył do uszczuplenia czyichkolwiek praw, a każdy konflikt zgóry będzie musiał uważać z skutkiem nieporozumienia lub złej woli.

Dodajmy nadto, że interwencja w sprawach szkoły i wychowania nie jest wpływem tylko jego apostołskości gorliwości, z której mogłyby zrezygnować, ale jest istotną częścią ogólnego posłannictwa, zleconego mu przez Chrystusa Pana w słowach: „dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha św. i nauczając je o wszystkim, co ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mat. 28, 18 — 20). W tych słowach, wypowiedzianych przez Zbawiciela do apostołów po zmartwychwstaniu, otrzymał Kościół nadprzyrodzoną misję szerzenia królestwa Bożego na ziemi, a z nią najwyższy urząd nauczycielski, wraz z przywilejem nieomylności w rzeczach wiary i obyczajów. Dlatego już Leon XIII pisał w Encyklice „Libertas” z dnia 20 czerwca 1888 r., że „co do wiary i nauki obyczajów... Kościół jest najwyższym i najpewniejszym nauczycielem i posiada nietykalne prawo do wolności nauczania”. Pius XI objaśnia jeszcze wyraźniej to prawo w Encyklice o wychowaniu: „Kościół, jak w swoim powstaniu, tak też i w wykonywaniu swojego wychowawczego posłannictwa jest nie-

zależny od jakiegokolwiek władzy ziemskiej, i to nie tylko w zakresie własnego przedmiotu, lecz także co do środków koniecznych i odpowiednich do wypełnienia swojej wychowawczej misji”.

Autoritet Kościoła w sprawach wychowania opiera się zatem na wyrażonej misji, poruczonej mu przez Boga i stąd jest najwyższy, a żadna władza ludzka nie może go usunąć ani zmienić, nie może, bez pogwałcenia praw Bożych, mu przeszkadzać. Nie plynie on więc z zaborczych dążeń Kościoła, nie jest żadną usurpacją i wdzieraniem się w cudzą dziedzinę. Kościół dąży go do ustanowienia Bożego, stąd płyną jego prawa i stąd obowiązek bronięcia tychże.

Tak przedstawia się w ogólnym ujęciu i uzasadnieniu kompetencja Kościoła katolickiego w sprawach wychowania i nauczania. Przypatrzmy się teraz bliżej — w świetle prawa kanonicznego i orzeczeń kościelnych, a zwłaszcza Encyklik o wychowaniu — na co rozciągają się one w praktyce, jak ma wyglądać konkretnie jej wykonanie?

Przede wszystkim posiada Kościół nietykalne wspólne wszystkim prawo korzystania z wszelkich innych gałęzi wiedzy, ale ma nadto prawo „sądzenia, czy i o ile one mogą być dla chrześcijańskiego wychowania pożyteczne lub szkodliwe”. Opiera się ono, podług słów Encyklik, na tym „że Kościół jako społeczność doskonała ma niezależne prawo do środków prowadzących do swego celu, a także że wszelkie nauczanie, narówni z wszelką inną ludzką czynnością, jest w koniecznym stosunku zależności od ostatecznego celu człowieka i dlatego nie może wyłączać się spod norm Bożego prawa, którego stróżem, tłumaczem i nieomylnym nauczycielem jest Kościół”.

W zakresie właściwego szkolnictwa posiada Kościół nie tylko prawo utrzymania instytucji dla wychowania duchowieństwa, ale również prawo zakładania i prowadzenia własnych szkół wszelkiej kategorii we wszystkich gałęziach wiedzy (nie wyłączając wychowania fizycznego), od najniższych do najwyższych, jak to zwzględnie wyowiada kan. 1375 kodeksu prawa kano-

nicznego. Tym samym zakłada Kościół pośrednio protest przeciw państwowemu monopolowi szkolnemu, przez jaki państwo ujmuje całe szkolnictwo w swe ręce, nie pozwalając na kształcenie dzieci w domu ani w szkołach prywatnych, lecz zmusza je do uczęszczania do szkół publicznych. Monopol taki zadający gwałt nienaruszalnym prawom rodziny i Kościoła, gwałt rażący zwłaszcza, jeśli szkoły publiczne są prowadzone w duchu niekatolickim, został już przedtem potępiony w „Syllabusie” Piusa IX (prop. 45, 47, 48).

Z przysługującego mu prawa do prowadzenia własnych szkół korzysta dziś jednak Kościół niewiele. Przyczyniły się do tego zarówno trudności ekonomiczne, jak i rozwój stosunków, który szkolnictwo oddał w wielkiej części, a gdzie indziej prawie w całości w ręce państwa. Stąd w czasach obecnych kwestią najbardziej aktualną jest ustosunkowanie się Kościoła do tych warunków i pytanie: jakie prawa przysługują mu w stosunku do szkół, nie pozostających w jego zarządzie, a więc publicznych (państwowych i samorządowych) oraz prywatnych?

Otóż zasadniczo stosunek Kościoła do tych szkół można ująć w dwóch punktach: 1) Kościół miesza się do tych szkół, w których znajdują się młodzież katolicka; 2) interwencja jego polega na tym, że czuwa aby w nauce i wychowaniu w owych szkołach nie było niczego sprzecznego z katolicką wiarą moralnością. Ten drugi punkt, który w streszczeniu ujmuje cały stosunek Kościoła do poszczególnych zagadnień nauki i wychowania na terenie szkoły, określa bliżej Encyklika o wychowaniu w następujących słowach: „Kościół posiada prawo, którego zrzec się nie może, a zarazem obowiązek, od którego nie może być zwolniony, czuwania nad całym wychowaniem swoich wierzących dzieci w jakimkolwiek zakładzie publicznym czy prywatnym, nie tylko co do nauki i religii, jakiej tam się uczy, lecz także co do wszystkich innych nauk wszystkich zarządzeń, o ile z religią i moralnością mają jakis związek”. Przypatrzmy się po kolei, co zawierają powyższe słowa.

Po pierwsze, młodzież katolicka ma mieć zapewnioną w szkole naukę religii, ta zaś z natury rzeczy podlega nadzorowi władz kościelnych, czyli biskupa miejscowego, który wykonuje ją przez wyznaczonego do tego delegata. Do niego należy więc zatwierdzenie nauczycieli religii, aprobaty podręczników szkolnych i wizytowanie nauki religii (kan. 1381 par. 1; 3; 1382 kod. prawa kanonicznego).

Powtóre, poza nauką religii czuwać ma Kościół także nad pozostałym nauczaniem i wychowaniem w szkole, ale tylko o tyle, o ile one mają jakis związek z wiarą i moralnością. Poza nauką religii nie wchodzi więc Kościół wcale w kwestie programów nauki i metod nauczania oraz urządzeń szkolnych, lecz uważa tylko, by wychowanie katolickie dziecka nie poniosło przy tym żadnego uszczerbku. Obowiązek czuwania nad tym nakłada Kościół na biskupa miejscowego (kan. 1381 par. 2; kan. 1382 kod. prawa kan.).

Kościół nie zadowolona się jednak takim, negatywnym raczej stanowiskiem — broniąc przed złem; jest to tylko ostateczność. Pragnieniem jego jest, aby dziecko katolickie było otoczone w szkole atmosferą katolicką, aby całe nauczanie i wychowanie było przejęte duchem katolickim i pozytywnie wpływało na młodzież w tym kierunku. Taką dopiero szkoła — szkoła katolicka czyli wyznaniowa — odpowiada w pełni życzeniom Kościoła i prawom rodziców, w której podręczniki szkolne i program przepojone są duchem katolickim. Taką szkołę popiera Kościół, każde katolickom dążyć wszędzie do jej zdobycia i nie szczędzić w tym celu, żadnych ofiar. „Wszystko — mówi Encyklika o wychowaniu — co wierni ro-

Z wizytą u przyjaciela Polaków

(Wywiad dla „W Imię Boże”)

Z przychylności i sympatią wita nas Kardynał Teodosio Clemente de Gouveia — wielki przyjaciel Polski, który przyjechał z Mozambiku, portugalskiej kolonii w Afryce.

Jego Eminencja po raz drugi w swoim życiu widzi Polaka. — Pierwszym był Marszałek Piłsudski w czasie pobytu na Madeirze, a w tej chwili siedzi przed nim polski dziennikarz, — żołnierz 2. Korpusu. Jest doskonale zorientowany w sytuacji, jaka obecnie panuje w Polsce i wyraża głębokie ubolewanie nad cierpieniem Narodu polskiego. Zapewnia nas, że naród portugalski czuje wiele sympatii dla Polski — kraju, który na przestrzeni wieków tylekroć doznawał prześladowań i męczeństwa dla wiary katolickiej. Dlatego też Portugalczycy w danej chwili okazują wiele współczucia Polakom.

Kardynał de Gouveia jest pierwszym kardynałem katolickim w Afryce. Podlegają Jemu wszystkie kolonie portugalskie — Mozambik, Angola i inne.

— W czasie wojny — mówi on — kolonie portugalskie nie odczuły jej istnienia w sensie ujemnym, a przeciwnie wzbogaciły się nawet. Jedynym widonym znakiem, który dał się poznać ich mieszkańcom, że na świecie szaleje wojna, był brak gumy, importowanej z krajów, wówczas objętych wojną. Na skutek tego ustała komunikacja samochodowa tak, że misjonarze mieli trudności w wizytowaniu szkół, których w samym Mozambiku jest 28, a obejmują one liczbę uczniów, w wysokości 79.800.

Kolonie portugalskie według słów Jego Eminencji wzbogaciły się w okresie wojny na skutek tego, że Portugalia pozostała przez cały czas neutralną. Nigdy porty portugalskie nie widziały tyle okrętów brytyjskich i amerykańskich, jak w czasie tej wojny. Kolonie portugalskie dostar-

czały towarów do Anglii, Hiszpanii, a nawet do Australii i Stanów Zjednoczonych. Eksportowane były minerały, kukurydza, kopa, bydło rogate, kawa, cukier trzcinowy, herbata, konserwy rybne, oraz oleje jadalne.

Może się wydawać rzeczą dziwną, że Portugalia zaopatrywała w produkty żywnościowe także państwa jak Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię.

Afryka rozwija się pod względem rozwoju ekonomicznego i cywilizacji wogóle. Jeśli chodzi o kolonie portugalskie, to pionierami cywilizacji i kultury są tu w pierwszym rzędzie misje katolickie, co uznaje i rząd Portugalii nadając im specjalne ułatwienia.

Misyjne szkoły uczą tubylców przede wszystkim czytać i pisać a następnie rzemiosł. Prócz tego istnieją gimnazja i kolegia.

Jeśli chodzi o przyszłość tych kolonii to Kardynał przywiązuje wielką wagę do roli jaką one odegrają przy odbudowie ekonomicznej Europy.

W koloniach portugalskich wyklucza się jakiegokolwiek wpływu propagandy komunistycznej. Dzieje się to na skutek tego, że tubylcy mają pełne prawa obywatelskie i współżycie ich z Portugalczycami oparte jest na prawach równości.

Wracając do spraw polskich, Jego Eminencja jest pełen nadziei, że Polska uzyska pełną niepodległość i obecny stan będzie tylko stanem przejściowym. Należy jednak uzbroić się w cierpliwość, przed starciem, do którego Europa będzie musiała stanąć z największym wrogiem jej cywilizacji i kultury chrześcijańskiej.

Zegnając się z J. E. Kardynałem de Gouveia odchodzimy pod wrażeniem, że nietyko rozmawialiśmy z człowiekiem o wielkim charakterze ale i szczerym przyjacielem Polaków. J. P.

(Dalszy ciąg art. na str. 4)

Zew wiernych

Ziemia krwią przesiąknięta

Jednego lutego 1858 roku rozchyliły się niebiosa ku ziemi i zstąpiła z nich promienna zorza: Niepokalana Dziewica. Dzień ten po wieczne czasy pozostanie niezatarłym w pamięci świata katolickiego. Zaledwie w cztery lata po ogłoszeniu dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najśw. Maryji Panny przez Piusa IX — po tym urzędowym zatwierdzeniu, żyjącej od zarania Kościoła wiary w Niepokalane Poczęcie — Najśw. Dziewica gości światu w Lourdes: „Jam jest Niepokalane Poczęcie”.

Niepokalane Poczęcie, to siła, podnosząca upadłych, wapiących; siła odrodzenia świata...

Niepokalane Poczęcie, to zew dla wiernych, by mężnie walczyli z bezbożnictwem...

Niepokalane Poczęcie, to zapowiedź zwycięstwa Dobra nad Złem...

Niepokalane Poczęcie, to znak uwolnienia ludzkości z kajdan grzechu i wyniesienia do wyżyn życia nadprzyrodzonego...

Niepokalane Poczęcie, to szczególne posłannictwo Najśw. Dziewicy w świecie współczesnym: przez miłość ku Niej pokochać lepiej Jezusa i z Nią kochać podwaliny pod nowy świat... Świat, w którym Panem i Władcą będzie Chrystus... Świat, który będzie Królestwem Chrystusowym w duszach...

Choć już minęły dziesiątki lat od objawień w Lourdes, to jednak Niepokalana dalej bez żadnej przerwy, objawia się duszom, które ją kochają, ją proszą, do Niej się uciekają... Minione dziesiątki lat są przepiękną i cudną epopeją, są łańcuchem zmiłowań Niepokalanej, zawierają tysiące dowodów miłości i miłości Maryji ku nam. Od chwili pierwszego zjawienia się w Lourdes do dziś rozbrzmiewa w całym świecie potężna mowa Niepokalanej: mowa czynów... Jest to mowa, która granitowymi zgłoskami wyryta zostaje w wdzięcznych sercach... Mowa, którą raz po raz potwierdza świat naukowo-lekarski... Jest to mowa cudów Niepokalanej...

I chociaż życie człowieka pozostawia wiele do życzenia, chociaż jest często pełne występków, i brudu, i ran — to jednak na dnie duszy, gdzieś w ich zakamarkach, tła się uczucia dla Niepokalanej, uczucia dawnej, może bardzo dawnej miłości i wdzięczności za otrzymane od Niej dary... Uczucia, które może dziś przyprószone zapomnieniem lub przyduszone zgnatwaniami cierniami życia codziennego... życia ciężkiego na obcej ziemi, wśród obcego lub wrogię otoczenia.

„Jam jest Niepokalane Poczęcie” — jest obudzeniem dusz trwających w letargu i wznieceniem uczuć, wypełniających serca...

Święto Objawienia w Lourdes jest podkreśleniem, że Niepokalana Dziewica i Matka nasza daje się wzruszyć przez łzy i prośby, czuła jest na widok nieszczęścia, nie umie się oprzeć wobec dowodów przywiązania; ulega urokowi prostoty i pokory serca i, że Ona jest w możności wszystko u Boga wyprosić, bo jest naszą Orędowniczką i Posredniczką wszystkich łask, jakie od Serca Jezusowego na ludzi spływają.

(ami)

Obrazki z Polski „Wyzwolonej”

Literacko-społeczne pismo pt. „Odra”, wychodzące w Katowicach, zamieszcza reportaż J. Wilkora, w którym m. in. czytamy:

...przed patacem, a walcąc w resztkami wspólniejszej ognis budowli lwy wykute w kamieniu. One jedne ocalały i strzegą ruin i legend o przeszłości. Wśród ograbionych, spalonych murów na rumowiskach, w gnoju koczują kilkadziesiąt rodzin przesiedlonych z Małopolski wschodniej. Gniazda w bezczynności, w przekleństwach. Wszędzie tyle porzuconych, pustka stojących domów. Opodal olbrzymie obszary odłogiem leżące, nieobstlane, zachwaszczone... tyle niw puszynnych, czekających na kosby i wysypujących dorodne ziarno. Im jednak nie wolno zrobić kilkadziesiąt kroków i ująć pług, ponieważ wyczerpani się daremnie i odwalili tuste skiby pod siew.

Czekają! Musicie tygodni przydział otrzymać. I tak jutro od wielu tygodni. Resztkami żyją, zgorzkniali i rozburzeni, rozczarowani, zwodzeni, sponiewierani, wyrzuceni jako przybłądy...

...pociągi zatłoczone ludźmi zmęczonymi, brudnymi. Wagony ciężarowe pełne gratów, rozebranych domów, nawet strzech, dobytek ryczących krów, głodnych rodzin, dzieci wyciągających ręce i o coś proszących pustkę miłosierdzia polskiego. Gościńcami wloką się tysiące ogarnięte żądzą posiadania. Pochód bosych, obdarych, a przecież przedsięwziętych, niezmordowanych, mocnych. Występowanie podziurawiające na zachód. Nieraz zebrała o chleb i podawała bez siły w rękach, aby przedchodzący zlitować się i znowu nad nią modlił o niezmierną Polskę bolesną...

— Ta maszyna była w Polsce — powiedział Bolek skończywszy objaśniać szczegóły wewnątrz kabiny pilota.

— Jaki — w Polsce? — zapytałem, nie rozumiejąc co przez to chce powiedzieć. Ładowaliście w Polsce?

— Tak. Kilka miesięcy temu. Na krótko przed tym, zanim zaczęliśmy latać z bronią i amunicją nad Warszawą. Nasz nawigator, Lilijka — znasz go przecież? — przywiózł wtedy cały worek ziemi z tego lotniska w Polsce. Rozdrapali mu ją w ciągu paru minut. A przedtym wszyscy mówili, że Lilijka jest sentymentalny... Żeby ich widział, jak się pchali do tej polskiej ziemi, kiedy przynieśli ją do kantyny — no. Anglicy z początku myśleli, że to złoto. Złoto — z Polski, uważasz... Zobaczywszy ziemię, zwykłą wilgotną ziemię — przypuszczali, że cały nasz dywizjon zwiariował. A teraz — o spojrzysz — w każdej z naszych maszyn wisi taki woreczek z tą ziemią. Jako maskota: na szczęście. I to nasi angielscy koledzy, a także ci z dominików zrozumieli od razu. Amerykanie także. Każda załoga, która była nad Warszawą ma grudek tej ziemi w swojej maszynie. Inni zazdroszczą im tego wyróżnienia, i gdyby Lilijka chciał sprzedawać swoją ziemię

na wagę złota, zrobiłby majątek. Wyobraź sobie, że proponowali mu taką tranzakcję. Naturalnie odmówił. I to z jakim fasonem. Nie sprzedajemy — powiada — naszej ziemi ani wrogom, ani sprzymierzeńcom. Nasza ziemia — powiada — nie jest na sprzedaż. A wiecie — powiada — dlaczego? Nie wiedzieli naturalnie, bo im nikt jeszcze wyraźnie o tym nie powiedział. Więc Lilijka „sięgnął pamięcią” jak to on mówi — do Władysława Bełzy i zadeklamował:

„Ojców naszych ziemio święta, ziemio wszelkich cnót i czynów, Tyś nawskroś jest przesiąknięta krwią ofiarną twoich synów...”

A potem przetłumaczył im na angielski całą „Legendę o garści ziemi polskiej” jak do Stolicy Apostolskiej przybyła delegacja z Polski prosić Papieża o relikwie, jak tym wystannikom Papież powiedział, że ziemia polska krwią się dymi i dość świętych kości chowa i o Żółkiewskim, rozumiesz, i o Tatarach, i o Szwedach, o kim chcesz... No i naturalnie, bardzo dramatycznie opisał scenę, jak to Papież wziął do ręki grudek ziemi polskiej i na dłoń mu się — o dziwo — kilka kropli krwi polało... A potem zagrał Papieża. Ale jak. Wez-

cie, mówi proch ten z sobą, i cud Boży głośno wszędzie: Niech ta ziemia wam ozdoba i relikwią świętą będzie. Nie poznajbys naszej skromnej Lilijki w tej nowej roli...

— A cóż na to aliancy? — zapytałem zaciekawiony. — Cęby potwiercili, mówię ci. Nie wiem co na nich zrobiło większe wrażenie, wiersz, czy jego angielski przekład, Władysław Bełza, czy Lilijka. Dość, że wzruszyli się jak jeszcze nigdy. Ci z pośród nich, którzy później latali zrzucać broń w Warszawie, dostali po grudce tej ziemi. Ech żebyś widział, jak dowódcy załóg brali je do ręki. Każdy z nich czekał, że krew z tej ziemi pocieknie, tak się przejęli. A Lilijka powiada. — Widzisz — mówi — krew jest w tej ziemi, tylko nie na każdą dłoń spływa. Nie wiele brakowało, żeby został misjonarzem i zaczął ich na katolicyzm nawracać... Ale o Polsce to im godzinki opowiadał.

I słuchali? —

— Słuchali. Jeszcze jak. Latali tam przecież, tak jak i my. Ginęli tak samo, jak ginęły nasze załogi. Robili, co mogli. Trzeba im przyznać, że nie oszczędzali się. I Polska i my mamy tu wśród nich najlepszych przyjaciół. Jak Warszawa padła i skończyło się dostarczanie broni dla Armii Krajowej, to wszyscy — Amerykanie, Anglicy, Nowozelandczycy — no wszyscy z tych dywizjonów specjalnych przez parę dni chodzili, jakby im kto geby zamurował. Potem przyszedł rozkaz — zrzucać broń dla partyzantów, mniejsza o to, dla jakich nie mogą ci powiedzieć, bo to tajemnica wojskowa. W każdym razie dla nas, Polaków nie było to zadanie najprzyjemniejsze, i tamci nie byli pewni, jak nasz dywizjon na to zareaguje. Naturalnie — rozkaz, to rozkaz, poleciliśmy bez gadania. I — wiesz co? — to dopiero zrobiło wrażenie. Naturalnie — też na sposób anglo-saski nie było o tym mowy ani w messach, ani na lotnisku, tylko jak cię taki poklepał po ramieniu, toś czuł z tydzień, a jak ścisnął za rękę, to świeczki w oczach stawały. My odwzajemnialiśmy się równie wymownie i tak rosta serdeczna, prawdziwa przyjaźń. Myślę, że można polegać na jej trwałości. Oni nas znają, my ich. Oni widzieli, że będziemy bili się do końca po ich stronie, my wiedzieliśmy, że oni będą po naszej stronie jak przyjdzie do zawierania pokoju. A zaczęło się od legendy o cudzie z garścią polskiej ziemi. Dziś cudów nie ma. Ale ziemia — ziemia, rozumiesz wciąż jest ta sama. —

Porucznik Herbert.

Kościół a szkoła

(Dokończenie ze str. 1-szej)

bia dla poparcia i obrony katolickiej szkoły dla swoich dzieci, jest dziełem nawskroś religijnym i dlatego najpierwszym zadaniem Akcji Katolickiej”. Szkoły katolickiej wyznaniowej żąda Ojciec św. z podwójnego tytułu: 1) jako instytucji nauczającej i wychowującej; 2) jako środowiska wychowawczego, w którym młodzież dłuższy czas się obraca. Tym tłumaczy się również troska Kościoła o katolickich nauczycieli, gdyż od nich zawisł przede wszystkim dobry stan szkoły. Pius XI nazywa ich także „potężnymi pomocnikami Akcji Katolickiej”.

Skoró mówimy o szkole wyznaniowej, nadmienimy okolicznościowo, że żądając jej w imię najświętszych praw i z obowiązku wychowawczej swej misji, postępuje też Kościół zgodnie z wymaganiami zdrowej pedagogiki. Warunkiem bowiem powodzenia w działalności wychowawczej jest jednolitość kierunku a wpływu wszystkich wychowawców, oraz tych środowisk, w jakich się dziecko obraca. Otóż dla dziecka katolickiego wychowawcami tymi są rodzice, Kościół i nauczycielstwo, środowiskiem zaś wychowawczym jest dom rodzinny, kościół i szkoła. Musi więc między nimi panować jedność, i im ta harmonia będzie doskonalszą, tym lepsze będą wyniki wychowania.

Wobec tego wyraźnego i zdecydowanego stanowiska Kościoła jest rzeczą zrozumiałą, że musiał on potępić bezwzględnie szkołę neutralną czyli świecką, to jest taką, w której religia jest wykluczona całkowicie z programu nauki i wychowania. Szkoła ta, w zasadzie areligijna, staje się w praktyce zawsze antyreligijna, nie tylko dlatego, że usuwa wogóle religię z życia, ale że pozwala na podkopywanie jej przy nauczaniu moralności świeckiej i innych przedmiotów szkolnych. Stąd kan. 1374 kodeksu prawa kanonicznego zakazuje posyłania młodzieży katolickiej do szkół niekatolickich i świeckich.

Białe róże

Na barokowych schodach, wiodących z Piazza di Spagna do SS. Trinita dei Monti, kwitną białe róże. Zerwane gdzieś w podmiejskich ogrodach, zanurzone teraz w starych blaszankach po amerykańskim smalcu, wdzięczą się z niewysłowionym powabem na straganie pyskatego przekupnia. Na stopniach natomiast, wznoszących się pod obelisk z tajemniczymi hieroglifami, rozsiadły się niańki z dziećmi, żebracy i młode dziewczyny o czarnych oczach. Hieroglify na obelisku prawią w tajemniczy sposób o niesłychanych zdarzeniach i przygodach faraonów z przed tysiąca lat, a niańki i dziewczyny opowiadają plotki i uśmiechają się do słońca, do róż. Białe róże zaś, otoczone pękami żółtych mimoz, kwitną w starych blaszankach, podobne do radosnego westchnienia dziecka, kiedy myśli o swojej matce.

Koło tamtych róż przechodzę codziennie i codziennie patrzę na nie z uwielbieniem, a równocześnie jakby z żalem.

Widok ich bowiem wywołuje u mnie osobliwe skojarzenie. Oto wywodzi mi w wspomnieniu fryz grecki, widziany niedawno w galerii Borghese na Monte Pincio. Przedstawia on między innymi Hekubę, płaczącą nad urną z popiołami swego syna Hektora. Rozpacz nieszczęśliwej matki, ujęta przez nieznanego artystę helleńskiego w gest pełen tragicznego patosu jest tak przejmująca i tak bardzo matczyzna, że odnosi się wrażenie, iż to nie legendarna Hekuba nad urną z popiołami Hektora, lecz polska matka, jedna z wielu tysięcy matek, płacząca nad urną z popiołami swego syna, którego zwłoki spalono w krematorium niemieckiego obozu koncentracyjnego.

Oto matce przysłano urnę, a w urnie szarżę jakiś rudych popiołów. Matka patrzy i nie może zrozumieć, że owa garść popiołu, to ciało jej umiłowanego dziecka. Dotyka palcami, a palce jej drżą bojaźliwie, a serce jej kamienieje z przerażenia i z bólu, a łzy spadają w urnę i toną w popiele...

W krematorium obozu koncentracyjnego w Dachau pracowali żydzi, a potem „zieloni”. Byli to więźniowie, noszący na marynarkach zielone trójkątne na znak, że są to t. zw. „zbrodniarze zawodowi”. Po dwóch, po trzech miesiącach zmieniano „spalaczy”. Poprzednią załogę zastrzelono. A nowa załoga spowrotem ujmowała zwłoki swoich kolegów za ręce i za nogi i wlokła do krematorium. Za dwa, za trzy miesiące pozostawa w ślady swych poprzedników, by zrobić miejsce nowym skazańcom.

Pracy mieli dużo. Pracowali na dwie zmiany; na zmianę dzienną i nocną. Z kominów walił ciężki tłusty dym, wlokł się w szarych tumanach po obozie, powlekał słońce załobą, krztusił płuca i niecił odrętwiały lęk w sercach ludzkich.

Z kominów walił więc dniem i nocą ten ciężki szary dym. Zwłoki ludzkie kurczyły się na patelniach w gorejących piecach, wykrywały się, podnosiły się, jakby chciały usiąść, opadały znowu, załamany ramiona, szczyrzyły zęby w potwory gryfnasie, imarły się niebieskawym płomieniem, czer-

niały stopniowo, rozpadały się, aż w końcu z żużłami koksu przesypany się jako żarzący popiół przez ruszta do podziemnej komory.

Obok pieców, stały już przygotowane urny gliniane. Gdy komora napełniła się po brzegi, dwóch więźniów schodziło do niej z urnami i jeśli szufelkami napełniał je popiołem. Jedną, drugą, dziesiątą... Mnożył się na posadzce rząd urn z popiołem, jeden, drugi i trzeci... Potem na urny nalepiano karteczki z imieniem i nazwiskiem. A nazajutrz szły w świat. A potem jeszcze gdzieś tam jakaś nieznaną w mecie osiwiła Hekuba płakała nad urną z popiołami swego syna Hektora!...

Obok obozu, za wysokimi murami, pyszniał się śliczny „Wildpark”. Były w nim smukłe topole nadwiślańskie, były przeróżne krzewy osypane drobnym kwiecikiem różowym i żółtym, były białe, kręte ścieżki, urocz zagajniki, duży staw z wysepką, bystry potok, szłaś alpejski z wygodnymi fotelami, z biblioteką, kominkiem i obrazami, i były przede wszystkim kwiaty. Z wiosną zakwitwały krokusy, potem wspinały bzy białe, purpurowe i bladeżółte gwoździki a później jeszcze róże. Były one tak niezmiernie piękne, że zmęczone oczy nie chciały uwierzyć, iż to róże. Znużone spojrzeć obejmowało je w radosnym zachwycie, jak by to był uśmiech człowieka ogromnie dobrego, tak dobrego, jak matka.

— Boże, jakie to piękne! — pomyślałem wtedy głośno.

Obok mnie stał kolega, stary więzień obozowy, niedobitek tej ogromnej armii więźniów, która już została zamieniona na popioł w krematorium. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się blade.

— Tak, piękne!... — potwierdził — Lecz czy wiesz, dlaczego one tak piękne? — Dlaczego?

— Tu były kiedyś mokradła, nieprzebyte torfowisko, pełne dołów i stawków z gnijącą wodą. My tutaj zbudowaliśmy obóz. Powstał kosztem tysiąca istnień ludzkich. I te wszystkie doły w „Wildparku” i tę ziemię zasypaliśmy grubą warstwą popiołów!... Wiesz, popiołem ze spalonych zwłok naszych kolegów!... I ślad to bujna zieleń, i ślad to przedziwne białe róże!... Wiesz już teraz, dlaczego one tak piękne?... Już teraz wiesz?...

— Wiem...

— Widzisz, w każdym listku, w każdym najdrobniejszym źdźbale trawy i w każdym płatku tej białej róży zamknięta cząsteczka umęczonego człowieka. On już skonał, jego ciało spalono, a jednak nadal żyje... Oto widzisz?... Nawet w tym precyzyjnym płatku róży... Widzisz? — i dotknął jej palcem.

— Widzę!

I kiedy dzisiaj u stóp schodów, wznoszących się do SS Trinita dei Monti, ujrzę kwitnące białe róże, przypominają mi się tamte róże, rosnące na popiołach moich kolegów w „Wildparku” w Dachau i przypominają mi się Hekuba z greckiego fryzu, płacząca nad urną z popiołami swego syna Hektora.

Gustaw Morcinek.